

1410012

HORIZON

1895. 509.

SKUTKI ZBRODNI

CZYLI

MAŻ DWÓCH ŻON

DRAMAT

W TRZECH AKTACH

A

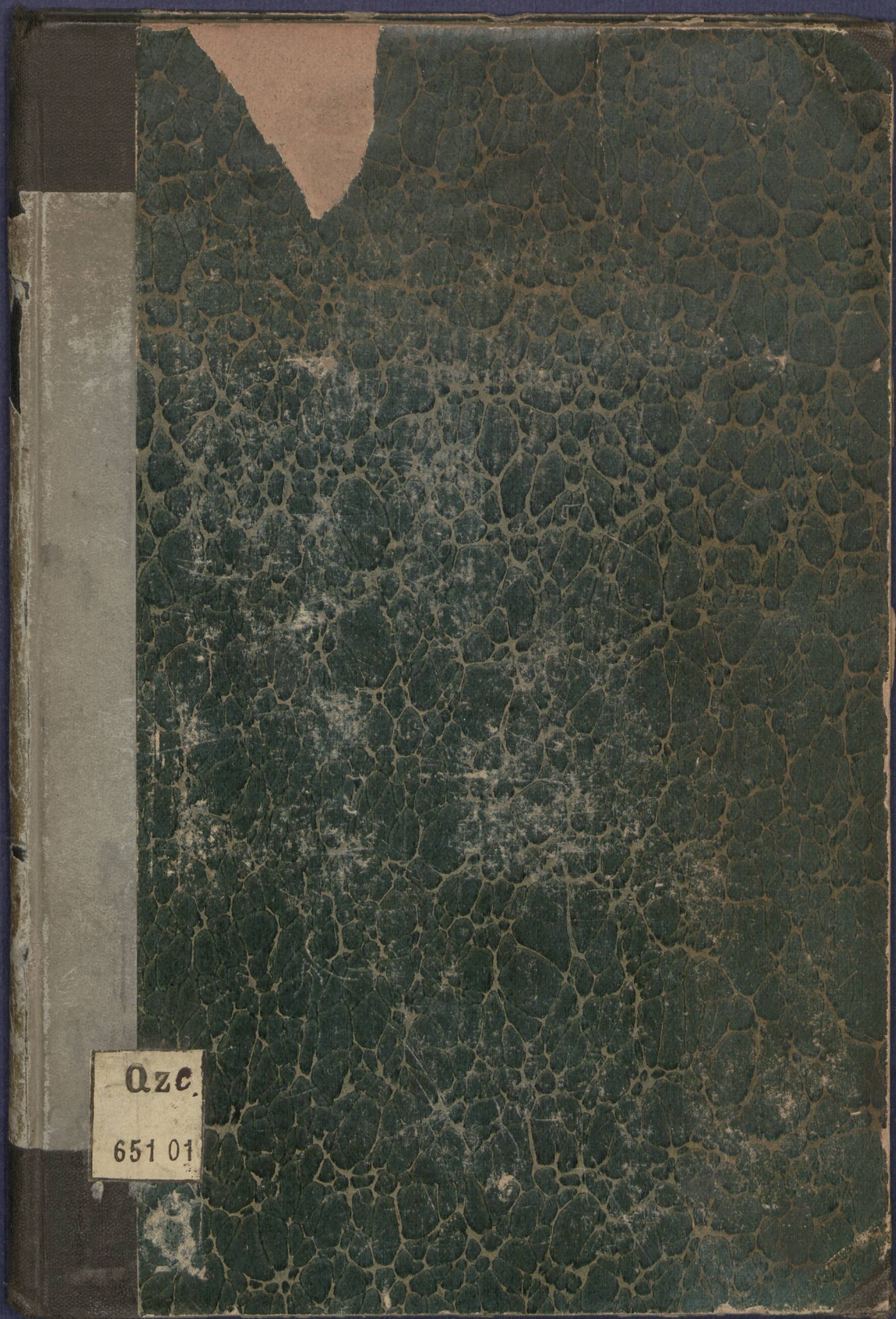
CZTERECH ODSŁONACH.

Wsp. Edward Herman

GNIEZNO.

NAKŁADEM AUTORA.

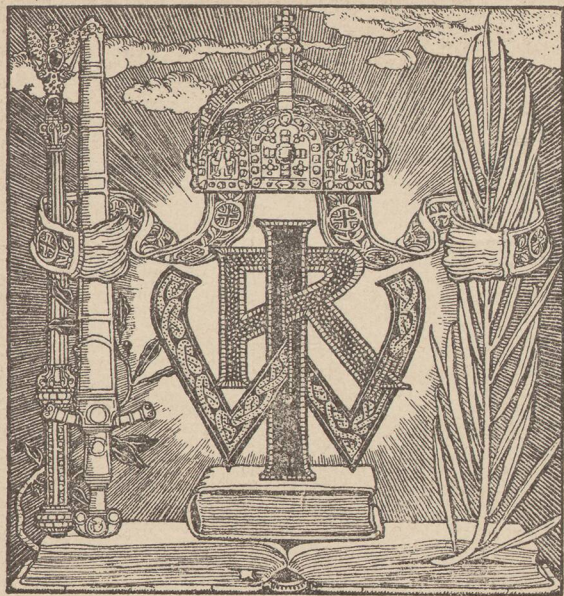
1862.

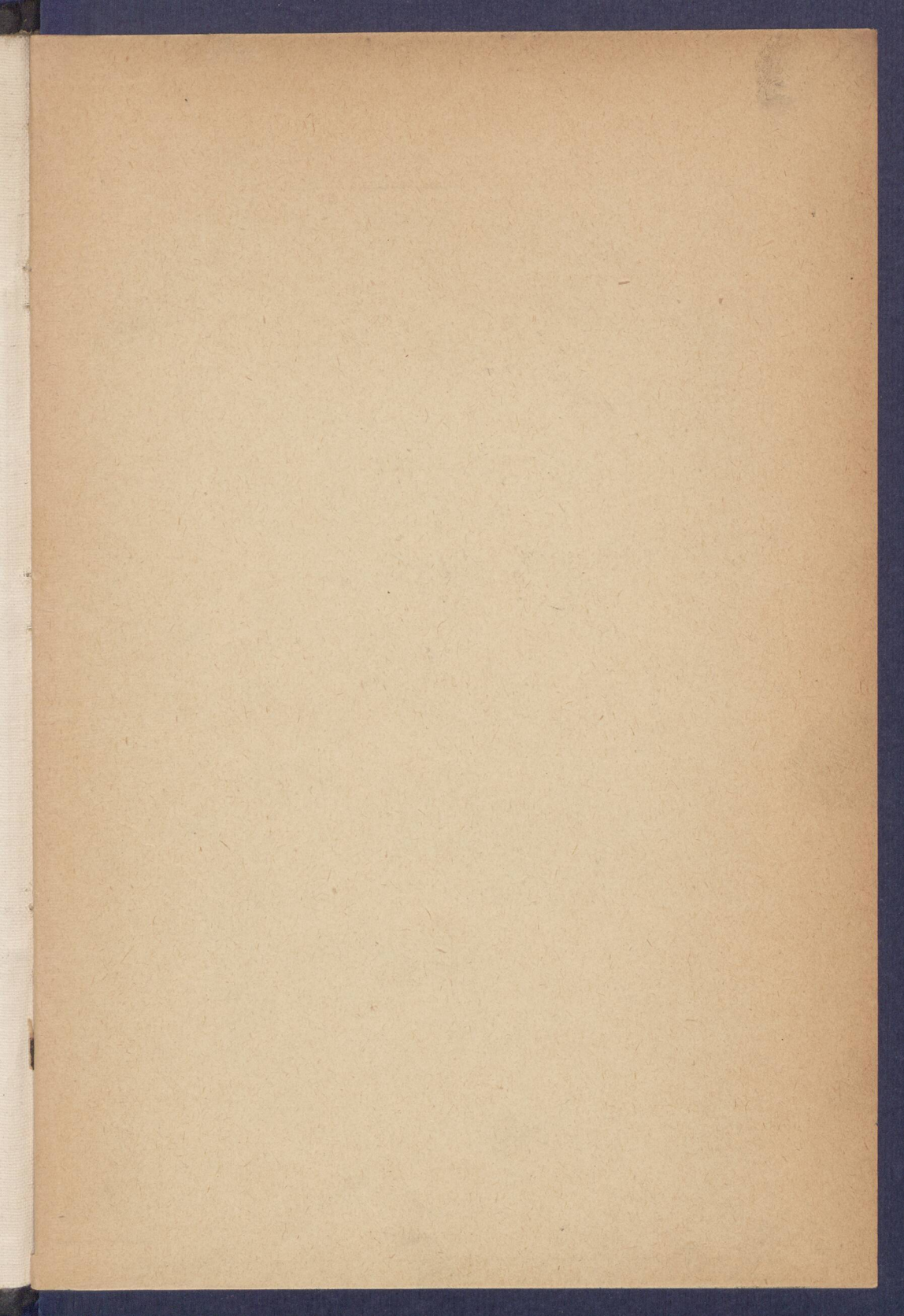


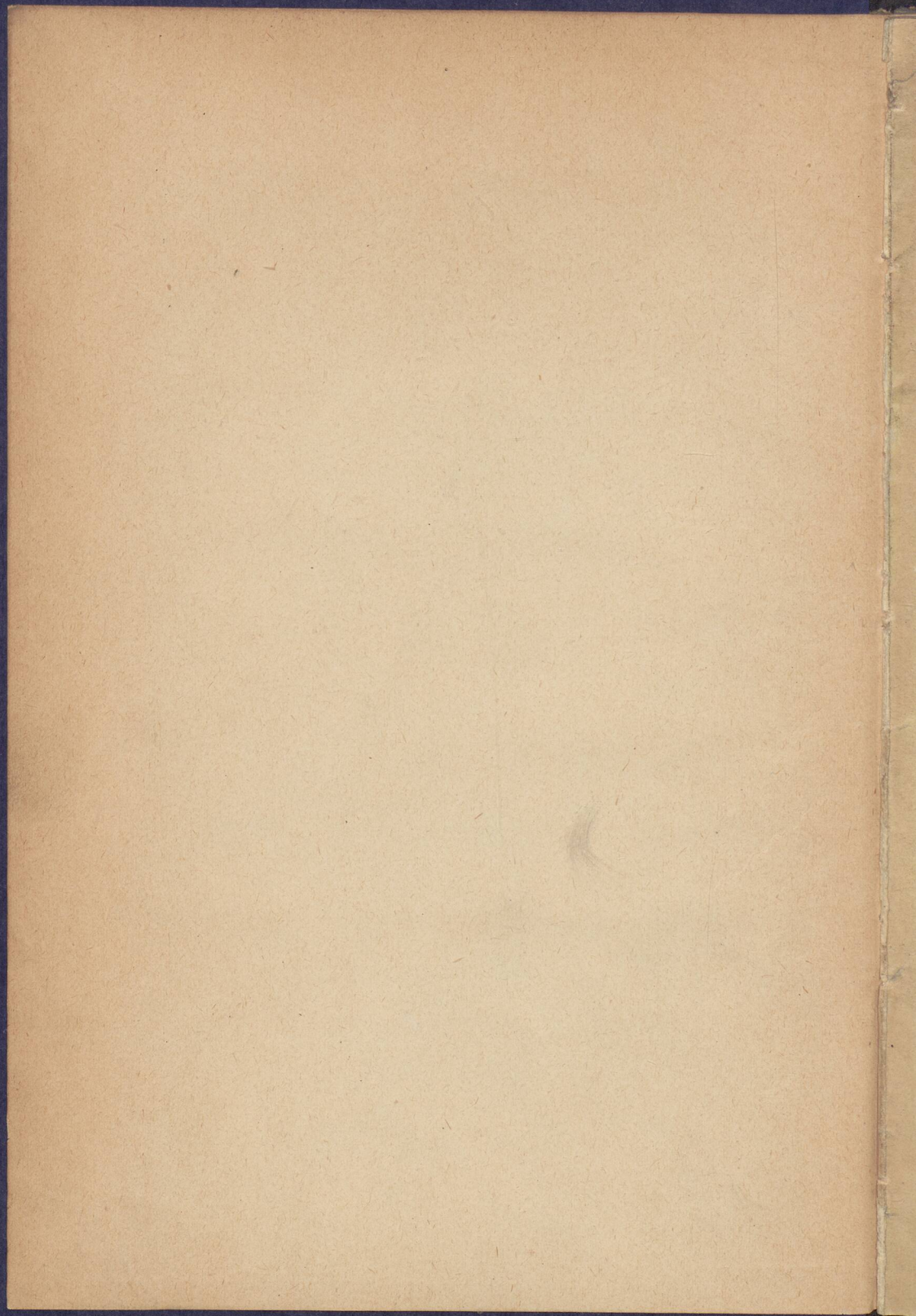
Qzc.

651 01

KAISER-WILHELM-BIBLIOTHEK-POSEN







1893.509.

SKUTKI ZBRODNI

CZYLI

MAŻ DWÓCH ŻON

DRAMAT

W TRZECH AKTACH

A

CZTERECH ODSŁONACH.

GNIEZNO, NAKŁADEM AUTORA.

1862.

Czcionkami J. B. Langego w Gnieźnie.



1410012

HORIZON

1895. 509.

SKUTKI ZBRODNI

CZYLI

MAŻ DWÓCH ŻON

DRAMAT

W TRZECH AKTACH

A

CZTERECH ODSŁONACH.

Wsp. Edward Herman

GNIEZNO.

NAKŁADEM AUTORA.

1882.



CZCIONKAMI J. B. LANGEHO W GNIĘZNIE.

PRZEDMOWA.

Do wydania dziełka tego drukiem jedynie zbieg okoliczności mnie znaglił, albowiem nigdy nie miałem i nie mam pretensyi zjednania sobie w świecie literackim imienia pisarza, bo wiem, że zdolności moje zbyt słabe. Niech więc ostre pióro krytyki pominie swych uwag, a łaskawy Czytelnik zechce przyjąć za dobrą chęć pracy.

Edward Herman.

PROBATION

The system of probation is a method of dealing with offenders who are not dangerous to the community. It is a system of supervision and control which is designed to help the offender to lead a better life and to become a law-abiding citizen. The system of probation is based on the principle that every offender is capable of reform and that the state has a duty to help him to reform. The system of probation is a method of dealing with offenders who are not dangerous to the community. It is a system of supervision and control which is designed to help the offender to lead a better life and to become a law-abiding citizen. The system of probation is based on the principle that every offender is capable of reform and that the state has a duty to help him to reform.

Howard Johnson

OSOBY.

HENRYK BOGDANKO, szlachcic na Litwie.

AMELJA jego żona, dziedziczka obszernych włości.

PANI JAGIELKO, sąsiadka Bogdanków.

SIGNORE ALFONS PIMPIONELLI, lekarz więźniów w Warszawie, a przyjaciel Henryka.

LUDWIKA, szwaczka pracująca w magazynie strojów.

EMILJA, przyjaciółka Ludwika.

MARCIN, lokaj i powiernik Henryka.

MYDLICKA, praczka.

ANTOSIA, jej córka.

BANKIER.

PAULINA
STANISŁAW } służący Amelji.

BARBARA, szareotka.

SZWAJCAR HOTELU.

PIERWSZY POLICYANT.

DRUGI POLICYANT.

DOZÓRCA WIĘŹNIÓW.

ROZMAIĆCI PANOWIE I PANIE.

(Rzecz dzieje się częścią w Warszawie, częścią na wsi
w dobrach Bogdanków.)

AKT PIERWSZY.

Scena I.

Pokój.

HENRYK, MARCIN.

HENRYK (pieczętując list)

W ten list za godzinę zaniesiesz do mego bankiera, a potem sprowadzisz stelmacha, żeby obejrzał powóz, czy nie ma co zepsutego, gdyż za trzy dni odjeżdżamy do domu.

MARCIN.

Dobrze panie, ale czy mam i odpis przynieść?

HENRYK.

Rozumie się, a przynajmniej ustnie ci powie, kiedy będzie u mnie. Teraz daj mi kapelusz. (odchodzi).

MARCIN (patrząc za nim oknem).

Idzie zapewne do Francuza na śniadanie. Dziwny też to zwyczaj mają ci panowie, kiedy inni o tym czasie jedzą obiad, to oni dopiero śniadaniem zakładają fundament. (ze smutkiem) Więc za trzy dni już odjeżdżamy; trzeba będzie na długi czas oddalić się od Antosi. Żeby przynajmniej z tydzień jeszcze zabawił, to bym się o nią oświadczył i z nią zaręczył, a tak, to kto wie, czy po moim odjeździe nie zapomni o mnie i nie pokocha się w kim innym, a ja nie przeżyłbym tego; widzi Bóg że nie, bo też to dziewczyna, jakiej drugiej nie ma w świecie. (zamyśla się) Trzeba by jakim sposobem odjazd pański wstrzymać, ale jak? muszę użyć podstęp, pomyśleć nad tem i naradzić się z Antosią; a teraz do bankiera, a potem do Antosi. (odchodzi)

Scena II.

MYDLICKA, ANTOSIA.

(Tylina zasłona podnosi się i odsłania pokój, w którym Antosia prasuje, a jej matka kładzie bieliznę w koszyk).

MYDLICKA.

Teraz odniosę bieliznę panu sędziemu, spodziewam się, że tą razą nie będzie gadał, że źle poprasowana. Też jak żyję nie widziałam takiego chimeryka, prawda, że płaci dobrze, ale co się też nagdera, jak jaką zagiętkę znajdzie.

ANTOSIA.

Ja też nie długo skończę prasowanie dla pana z hotelu angielskiego, po którą pan Marcin zapewne przyjdzie na wieczór.

MYDLICKA.

Ten chłopak podoba mi się, bo z niego porządny mężczyzna, nie pijak i nie żaden hultaj. Muszę ci powiedzieć Antosiu, że nie bym przeciw temu nie miała, żeby chciał być moim zięciem.

ANTOSIA.

Moja mamó, on tu tylko tymczasowo w Warszawie, może w krótkce odjadą, a z tą tak daleko pan jego mieszka.

MYDLICKA.

Toć gdyby się chciał z tobą żenić, toby mu pan pozwolił na kilka dni przyjechać, kiedy ma u niego takie łaski, a potem wziąłby cię do domu. Ty mogłabyś tam służyć za praczkę, a ja możebym znalazła miejsce za gospodynię, przecież, sługując dawniej po dworach, znam się na wszystkiem i miałabym bez kłopotu większe wygody, niż tu, gdzie wszystko tak drogo opłacać trzeba z pracy rąk swoich.

ANTOSIA.

On cię jest dla mnie bardzo grzeczny, ale cóżby miał za przyczynę nie być nim, kiedy i ja dla niego jestem uprzejmą.

MYDLICKA.

Musisz go wymiarkować, co myśli; z bielizną się niespiesz, abyś przy nim miała jeszcze do końca, gdyż, czekając na nią, dłużej u nas zabawi jak przyjdzie, i przez to więcej się znajdzie sposobności do wymiarkowania go. Ja teraz idę, bo później nie zastałabym sędziego. (odchodzi).

ANTOSIA (do siebie).

O i ja bym była bardzo szczęśliwą, żeby się chciał ze mną ożenić, bom go bardzo polubiła.

Scena III.

ANTOSIA, MARCIN.

MARCIN.

Witam pannę Antoninę.

ANTOSIA (z ukontentowaniem).

A! pan Marcin — co za niespodziany gość, zapewne po bieliznę, a jeszcze nie gotowa.

MARCIN.

Nie, znalazłem trochę wolnego czasu więc spieszę, aby korzystać z tego i przepędzić kilka chwil w tak dla mnie przyjemnem towarzystwie panny Antoniny.

ANTOSIA.

Za pochlebstwo dziękuję panu Marcinowi; znam się na żartach.

MARCIN.

Zapewniam że to ani pochlebstwo, ani żarty i upewnić mogę, że, nie widząc panny Antoniny, ciągle mi tęskno na sercu.

ANTOSIA.

Doskonale pan umie rozkochanego udawać.

MARCIN.

Nie udawać, ale prawdziwie kochać.

ANTOSIA.

Nie jestem tak łatwowierną, znam mężczyzn.

MARCIN.

Bóg świadkiem moim, że nie zmyślam i udowodnię to później — a teraz przyszedłem oznajmić mój smutek, że za trzy dni odjeżdżamy do domu i nie wiem, kiedy będę mógł zobaczyć pannę i uściskać rączkę. (całuje).

ANTOSIA (smutna).

Wiadomość ta i mnie zasmuca, bo w oddaleniu pan Marcin zapomni o mnie.

MARCIN.

Ja miałbym kiedy zapomnieć o panie Antoninie? — nigdy — przenigdy.

ANTOSIA.

Tak wszyscy mężczyźni mówią jak się żegnają z prawdziwą przyjaciółką, a ledwie odjadą i zobaczą inną, zapominają o tej, która całym sercem jest przywiązana.

MARCIN.

Nie należę do tych mężczyzn; — ale czyżbym miał być tak szczęśliwy, że serce panny Antoniny równie jest przywiązane do mnie, jak moje do niej?

ANTOSIA.

O mojem bądź pan zapewniony.

MARCIN (z ukontentowaniem całując w rękę).

O jakimż szczęśliwy! — Co ja-to jakim Marcin Kręciwąs, klnę się na wszystko, że pannę kocham do szaleństwa.

ANTOSIA.

Tém boleśniejszy dla mnie będzie odjazd pański, kiedy serca nasze złęczone są wzajemnością.

MARCIN.

O i dla mnie to okropnością będzie; — trzeba więc nad tém pomyśleć, aby wstrzymać jakim sposobem odjazd mego pana choć kilka dni jeszcze i co prawda, w tym zamiarze przyszedłem do panny Antoniny, aby się naradzić, jakby wyjazdowi przeszkodzić, abym mógł dłużej być z panną, a gdy zezwolisz, oświadczyć się matce i prosić ją o rękę panny Antoniny, a potem zaręczyć przed odjazdem, abym na pewne mógł wrócić do Warszawy dla połączenia się.

ANTOSIA.

Cieszyłoby mnie bardzo, żebyś pan skutecznił zamierzony cel. Wtenczas z utęśchnieniem, ale już ze spokojném sercem czekałabym na niego. Ale jak wstrzymać odjazd, nie umiem panu doradzić.

MARCIN.

Mnie wpada jedna myśl, ale rolę tę na siebie panna Antonina przyjąć musi.

ANTOSIA.

Z chęcią poświęcę się do odegrania tej roli, jeżeli przyzwolitość na to pozwoli.

MARCIN.

Nieprzyzwoitego niebym nie proponował, chodzi o to, aby panna Antonina przebrała się za starą kobietę i jutro około dziewiątej rano weszła do stancyi mego pana prosząc o wsparcie, a gdy otrzymasz, będziesz prosić, aby z wdzięczności pozwolił sobie położyć kabałę. Jeżeliby z początku na to nie chciał przystać, będziesz panna nalegać natrętnie, chwając się ze swój prawdziwój przepowiedni — a ja będąc temu przytomny, namówię go, żeby choć ze żartów na to pozwolił.

ANTOSIA.

Ale przecież ja się nieznam na kabale i cóż mu będę wróżyć, a do tego pozna, żem nie wdowa i że nie mam dzieci.

MARCIN.

Co do wdowy tego nie pozna, bo panna głowę odziejiesz chustką, mowę zmienisz pokaszlując, a tak nie pozna pannę Antoninę żeś młoda i ładna.

ANTOSIA.

To dobrze, ale cóż mu mam wróżyć?

MARCIN.

Najprzód aby go utwierdzić, że panna umiesz wszystko odgadywać, powiesz mu, że jest żonaty i wyrecytujesz list od

żony, co dziś odebrał, a który ja przeczytam i opowiem na wieczór, potem radzić mu będziesz, aby w drogę, w którą w tych dniach chce jechać nie puszczał się i odłożył na później, gdyż go wielkie niebezpieczeństwo czeka, a przez to sprawiłby ciężki smutek jednej brunetce, co go szczerze kocha. Gdy mu to panna Antonina wszystko z kart wyczyta, zdziwi się; a bojąc się sprawdzenia nieszczęścia, pozostanie tu dłużej, a my przez ten czas zaręczymy się i o naszej przyszłości uradzimy

ANTOSIA.

Zgoda — plan wysmienity; o! jak widzę to pan Marcin ma wcale mądrze w głowie. Tylko się boję, aby na tem nie pomiarkował się, a mnie za to do kozy nie kazał wsadzić.

MARCIN.

Najmniejszej o to obawy niech panna nie ma.

ANTOSIA (nieśmiało).

To on jak uważam ma tutaj kochankę, pomimo że ma żonę.

MARCIN.

Zwyczajnie jak to wszyscy wielcy panowie, im uchodzi wszystko, bo to do mody należy. Teraz pożegnaj pannę Antoninę, gdyż muszę iść po stelmacha. Wieczorem przybędę na godzinę. Do widzenia.

ANTOSIA.

Do miłego widzenia panie Marcinie, a proszę słowa dotrzy-

mać i nie zapomnieć o naszej umowie i karty ze sobą przynieść, bo tych nie mam.

MARCIN.

Dobrze, dobrze, wszystko będzie. (wychodzi).

ANTOSIA (sama).

Jaki miły — jaki dobry — jaki grzeczny ten pan Marcin. Wiadać, że nie zepsuty jak nasi Warszawiacy, co w kieszeni pustki, a nadęci jak pawie i każdą pannę za nic sobie mają. O jak szczęśliwa będę za nim; a mama jak się ucieszy, gdy jęj powiem, że był i że mi się oświadczył. Ale, ale zapomniałam, że bielizna wisi na dworze, muszę zobaczyć, czy już uschła. (wychodzi).

Scena IV.

(Pokój Henryka jak w pierwszej scenie).

MARCIN (wchodzi).

Koło powozu nie ma nic zepsutego, a za fatygę i obejrzenie musiałem dać rubla panu majstrowi. Ale mój pan coś się gdzieś gości, a bankier powiedział, że jeszcze dziś będzie u niego. — Co za anielskie dziewczę z mojej Antosi, boć ją przecież już tak nazwać mogę. Anim myślał, że mi tak gładko pójdzie powiedzieć jej, że ją kocham i że oświadczyzny ni ztąd ni zowąd dziś nastąpią. Prawda, że ona sama do tego mi pomogła, bo tak nakręciła rozmowę, że mi się ani spostrzegł, jak

się to wszystko stało. Mniejsza o to, kiedy tylko ta pierwsza ceremonia skończona, o którą miałem największy kłopot, reszta pójdzie gładziej.

Scena V.

MARCIN, BANKIER.

BANKIER (zatręcając po żydowsku).

Ny — czy pan nie ma w dom?

MARCIN.

Jeszcze, jak w południe wyszedł, nie był w stancyi i dla tego nie mogłem mu powiedzieć, że pan tu będziesz.

BANKIER.

To proszę mu mówić, że byłem i jeżeli się chce ze mną widzieć, to niech weźmie fatygę mnie jutro nawiedzić, a teraz prosi wason za mną na doł i sprowadzić mi dorózkę, bom fatygowany. Ja tymczasem czekam przed hotel. Dam na piwo.

MARCIN.

Idę z panem (odchodzą).

Scena VI.

(Tylina zasłona podnosi się i odsłania pokój, w którym Ludwika i Emilja siedzą i szyją suknią).

LUDWIKA, EMILJA.

LUDWIKA.

Ani słowa, z pana Henryka ładny mężczyzna i zdaje się bogaty, ale mi przykro, że tyle traci dla mnie.

EMILJA.

Bodajśty, cóż ci to szkodzi, kiedy się masz z tego dobrze, a i ja się nie jedném pożywię przy tobie.

LUDWIKA.

Ale odbierać prezenta, a jeszcze tak drogie nie będąc pewną, czy zostanę jego żoną, nie uważam za dobre.

EMILJA.

Dla czegożby nie miał się z tobą ożenić, jeżeli nie udaje, że cię kocha. Bądź tylko ostrożną, aby ci tak nie poszło jak tysiącom innym, bo mężczyźni uważają sobie za tryumf zbala-mucić dziewczynę, a potem ją wyśmiać.

LUDWIKA.

Ale czyżby chciał taki pan wysokiego urodzenia żenić się ze mną biedną szwaczką, a córką niegdyś ubogiej przekupki. To co mnie martwi, że kochając go szczerze, podobno nigdy żoną jego nie będę.



EMILJA.

A ja ci powiadam, że będziesz, tylko bądź mądrą; mówiłam o tém z panem Alfonsem, który mi przyrzekł być ci pomocnym, zapewniwszy go o wdzięczności twojej za to. Nie gniewaj się na mnie, bom to z prawdziwój przyjaźni uczyniła.

LUDWIKA.

Cicho, ktoś idzie, serce mi bije, to może Henryk.

Scena VII.

CI SAMI, HENRYK.

HENRYK.

Dzień dobry moim kochanym paniom.

OBYDWIE.

Dzień dobry panu.

HENRYK.

Spodziewałem się, że przy święcie zastanę pannę Ludwikę w domu i nie omyliłem się — ale co widzę i dziś przy pracy?

LUDWIKA.

Trudno, nie zawsze i w święto święcić można, kiedy jest pilna robota. Ta suknia musi być na jutrzajszы ślub skończona.



HENRYK.

Jak to, czy jutro ślub panny Ludwiki?

LUDWIKA.

Nie dla mnie, ona jest obstalowana w magazynie, lecz dla zrobienia jej przedzój przy pomocy mojej przyjaciółki, wzięłam ją do domu. Ja ślubnej sukni nigdy potrzebować nie będę.

HENRYK.

Alboż to panna Ludwika nie myśli iść za mąż?

LUDWIKA.

Nigdy — bo wiem, że bogaty ubogiej nie weźmie, a biedny z biedną jakieżby miał utrzymanie.

HENRYK.

Żartujesz pani ze mnie. Już ci powiedziałem piękna Ludwiniu, że musisz być moją, jeżeli mnie tak kochasz jak ja ciebie. Z niecierpliwością oczekuję téj chwili, w której będę się mógł połączyć z tobą na zawsze.

EMILJA.

Panna Ludwika, o ile mi się zwierzyła, równie pana kocha — od pana tylko zależy urzeczywistnić to, co usta teraz Jego wymówiły.

HENRYK (bierze za rękę).

Droga Ludwiniu! czyż przez usta panny Emilii, mówiły usta i serce twoje? —

LUDWIKA (z nieśmiałością).

Tajniki serca mego dla mojej przyjaciółki są otwarte, z nich czerpać może i myśli moje i słowa, które są tak prawdziwe, jak gdyby przez własne usta moje były wypowiedziane.

HENRYK.

A więc od tego momentu już nie do szczęścia mego nie pozostaje. Ty będziesz, drogi skarbie, moją — moją na zawsze (zamyśla się, a potem ze smutkiem). Lecz tej błogięj chwili połączenia się naszego, dziś jeszcze oznaczyć nie mogę dla pewnej przyczyny.

LUDWIKA (ze smutkiem).

Rozumiem — może jej oznaczenie i nigdy nie nastąpi: a pan uragać się będziesz z łatwowierności mojej i przywiązania mego.

HENRYK.

O nie! moje złoto — moje ty kochanie! ja twój miłości nie zdradzę; lecz pierw odjechać muszę do domu, gdzie mam matkę (patrzy na zegarek). Teraz pożegnam was na parę godzin, bo o 12. prosiłem moich przyjaciół na śniadanie, a już trzy kwadranse. Do przyjemnego widzenia z paniami. Pospieszcie się z robotą, nad wieczorem przejedziemy się na spacer. (klania się i wychodzi).

LUDWIKA.

Ach! gdyby nie ty, kochana Emilciu, nigdybym nie była

w stanie powiedzieć mu, że go kocham. Teraz mi jakoś lżej na sercu, że wie o tém. Nie, on nie udaje, że mnie kocha, bo nie podobna, żeby z takim uczuciem i zapalem zmyślać można.

EMILJA.

I ja teraz o tém nie wątpię, tylko mnie zastanawia ta przyczyna, dla której nie może oznaczyć dnia ślubu.

LUDWIKA.

No, to dla tego zapewne, że chce pierw jechać do domu i z matką się rozmówić.

EMILJA.

Bóg to wie! może i to, może i co innego; czekajmy cierpliwie jego powrotu, a teraz pójdźmy na obiad, żeby moja matka za nami nie czekała.

LUDWIKA.

Prawda, to i czas, chodźmy. (składają robotę i wychodzą).

Scena VIII.

(Saski ogród, panie i panowie przechodzą się w tę i ową stronę).

HENRYK I ALFONS (wchodzą i siadają na ławie).

HENRYK.

Wystaw sobie, dziś rano weszła do mnie jakaś kobieta pro-

sząc o wsparcie, a gdy ję takowe dał, prosiła, żebym pozwolił położyć sobie kabałę, o co usilnie nalegała. Zabawiła mnie ta scena i zezwoliłem na to.

ALFONS.

I cóż ci wywróżyła?

HENRYK.

Pomimo tego, że nie wierzę w podobne baśnie, ale wyznam, że się zdumiał nad ję wiedzą. Najprzód, że jestem żonaty, potem wyrecytowała mi prawie cały list od żony, który wczoraj odebrałem. Nareszcie, że w tych dniach wybieram się w podróż i przez to wielki smutek sprawię jednej brunetce, która mnie szczerze kocha. W końcu dodała, żebym wyjazd mój wstrzymał na kilka dni, gdyż w tym czasie wielkie nieszczęście mnie w drodze czeka i zagraża życiu memu.

ALFONS.

I cóż ona za jedna i gdzie mieszka?

HENRYK.

O to zapomniałem pytać.

ALFONS.

I dajesz temu wiarę?

HENRYK.

Sam nie wiem, czy w to wierzyć lub nie.

ALFONS.

Powiem ci także jeden wypadek sprawdzenia podobnej ka-
bały. Kiedy moi rodzice się pobrali, mieszkając jeszcze w swym
rodzinnym kraju, przysłała podobna wróżka do mojej matki
i z kart przepowiedziała jej, że się przeniosą do Polski i tam
mieć będą syna. Mój ojciec, gdy mu to matka oznajmiła,
śmiał się z tego, mówiąc, co byśmy tam robili, nie znając na-
wet tego języka. W rok przecież potem okoliczności, które
ci już wiadome, sprowadziły ich do Polski, gdzie się urodził.

HENRYK.

To jest istotnie podziwiania godne. Co do mojej brunetki,
która mnie ma tak kochać, to nie inna będzie jak Ludwika,
bo i ja ją nie mniej uwielbiam; a w miarę czém więcej ją po-
znaję, tracę winne przywiązanie do mojej żony, z czego sobie
nie raz robię wyrzuty, bo jest dobrą i cały jej majątek jest,
jak moja własnością. Często uniesiony zapalem ku Ludwice,
przeklinam moment, w którym się ożeniłem — a zarazem i tę
chwilę, w której to cudo piękności ujrzałem w Warszawie, bo
ta pozbawiła mnie tej lubiej spokojności, której aż dotąd uży-
wałem, a która wytoczyła walkę serca z prawością. O gdyby
żona moja była przynajmniej zdrową; ale ta ciągła słabość
i suchoty, których, jak doktorzy twierdzą, dostała przy karmie-
niu naszej jedynaczki, są do uprzykrzenia. Biedna dziecina,
wyssawszy je z matki, umarła we dwa lata po swém urodze-
niu, wyschnąwszy jak wiórek.

ALFONS.

Jest to choroba nie do wyleczenia i wywierająca zaraźliwy wpływ na osoby, w bliższych stóśunkach będące.

HENRYK.

Tego się obawiam i dla tego chciałbym rozwieść się, aby ich także nie zarwać. Ale cóż, to nie jest punkt do rozwodu, a żadnych innych nie ma.

ALFONS.

Rozwodu nie dostaniesz, a seperacya pozbawiłaby cię znacznego majątku. Ale jest na to sposób, że, nie przestając być jej mężem, ożenisz się z Ludwiką, jeżeli mnie usłuchasz.

HENRYK.

Jak to, chcesz, żebym miał dwie żony? Tego nie zrobię, bo ani religia, ani prawo nie pozwala.

ALFONS.

Skrupulów z tego żadnych sobie nie potrzebujesz robić, bo słabość żony uwalnia cię od nich; a Ludwika, o ile ją poznałem, jest najgodniejszą osobą i miałbyś nie tylko anioła piękności, ale i anioła dobroci za żonę. O prawo mniejsza, bo prawo o tém wiedzieć nie będzie, że masz dwie żony.

HENRYK.

Więc mówisz, że sumienie moje wolne będzie od wyrzutów, a prawo tajemnicy nie wykryje?

ALFONS.

Ma się rozumieć.

HENRYK.

To daj mi radę, a słuchać cię będę we wszystkiem, bo przez to nie dam jej powodu do niespokojności i smutku, którego bym ją nabawił przez seperacyę, a siebie uwolnię od udręczeń.

ALFONS.

Jako twój przyjaciel radzę ci więc dla wspólnej spokojności ożenić się z Ludwiką.

HENRYK.

Przecież z dwoma żonami nie mógłbym mieszkać.

ALFONS.

Tamta mieszkałaby, gdzie mieszka, na wsi, a ta tu w Warszawie, ty przejeżdżałbyś się pod różnemi pozorami raz tu drugi raz tam.

HENRYK.

Ale Ludwika chciałaby kiedy przejechać się ze mną na wieś z samęj ciekawości widzenia moich dóbr, a może i Amelii zachciałoby się być w Warszawie.

ALFONS.

Ludwice powiedziałbyś, że masz matkę, przed którą musisz zachować sekret, żeś się ożenił z nieszlachcianką, ponieważ

jest wielka arystokratka i gotowa cię wydziedziczyć z majątku, który po jej śmierci masz jeszcze dostać; a zatem dopóki matka żyje, z tobą tam jechać nie może. A Amelia, choćby i przyjechała do Warszawy, czyżby się w tak dużym mieście dowiedziała o twojej Ludwice, zwłaszcza nie mając tu znajomości.

HENRYK (zamyśla się).

Masz słuszość, a i dziś nie wiem z kąd mi przyszło, że powiedziałem Ludwice, iż muszę jechać do domu, gdzie mam matkę.

ALFONS.

To dobrze, żeś ją o tem uprzedził.

HENRYK.

Ale przez zapowiedzie można się wydać.

ALFONS.

Bynajmniej. Na Podwału nie daleko mieszkania Ludwiki jest kamieniczka na sprzedaż za 60,000 złotych, ty ją kupisz, zameldujesz się za mieszkańca Warszawy, zamieszkaś przez sześć tygodni i weźmiesz indult. A że oboje będziecie mieszkańcami tej samej parafii, przeto w jednym kościele jednorazowa zapowiedź wyjdzie. Ja znam tamtejszego księdza, więc mu powiem, aby was niezrozumiale i prędko przeczytał, ponieważ twoje dostojne imię znane powszechnie w Warszawie, sprawiłoby dziwy, że się żenisz z biedną szwaczką.

HENRYK.

Wybornie, ale podczas ślubu może nas kto ze znajomych zobaczyć.

ALFONS.

Gdzie tam. Po zapowiedzi weźmiesz świadectwo z twojej parafii i indult, a nazajutrz raniuteńko pojedziemy do Trynitarzy i tam weźmiesz ślub. W tym odludnym zakątku miasta chyba parę bab, dziadów i starych mieszczek będą świadkami twego ślubu; a te cię pewnie nie obchodzą.

HENRYK.

Bynajmniej (z ukontentowaniem). Muszę ci powiedzieć, żeś dzielnie tę całą rzecz ukartował. Ale jeszcze jedno. Moja żona Amelia będzie się dziwić, że często do Warszawy jeździć będę i długo bawić.

ALFONS.

I na to jest sposób. Powiesz jej, żeś został jakim radcą lub sędzią i że masz obowiązek zasiadywania w urzędowaniu.

HENRYK (z radością).

Doskonale, niech cię za to uściskam (ściska). A teraz pójdz ze mną do Ludwini, przejedziemy się na spacer, jest tam i Emilka, a ona w twoim guście. Ze spaceru poproszę je do siebie na kolacyą i razem zjemy.

ALFONS.

Dobrze, zgadzam się na to (wychodzą).

KOŃCIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena I.

(Pokój Henryka, w którym stoją porozstawiane talerze od kolacyi i butelki od wina).



HENRYK, ALFONS, LUDWIKA, EMILJA, MARCIN.

HENRYK (do Marcina).

butelki i talerze posprzątaj i przynieś nam dwie butelki czerwonego szampańskiego i cztery porce lodów.

MARCIN.

Dobrze panie (sprząta i wychodzi).

HENRYK.

Teraz już wiesz Ludwiniu, że dla dopełnienia prawnych formalności ślub nasz dopiero za kilka tygodni nastąpić może.

LUDWIKA.

Obawiam się tylko jak się matka pańska dowie, abyś nie miał nieprzyjemności dla mnie.

ALFONS.

Bądź pani spokojną, o tém się zaradzi, że za życia wiedzieć nie będzie, chyba po śmierci, jeżeli duchy mają dobre oczy, że z drugiego świata aż tutaj dojrzą.

EMILJA.

Pan Alfons powinien był zostać mecenasem, a każda sprawa jemu oddana byłaby wygrana.

ALFONS.

Lecz żeby proces był nie z panią, w którymbyś osobiście się broniła, bo wtenczas tak byś mi pani pobałamuciła w głowie, że nie wiedziałbym jak się bronić.

EMILJA.

Tak źle by nie było, dalbyś pan sobie radę.

MARCIN (wchodzi prędko).

Panie! nasza pani przyjechała ze wsi, wysiada z karety.
(wszyscy przerażeni powstają z krzeseł.)

HENRYK.

Co mówisz? idź czémprędzej, zamknij za sobą drzwi na klucz, nie wpuszczaj — powiedz, że mnie nie ma. Szwajcar niech jęj da osobny numer, ale nie w bliskości mego; ruszaj.
(Marcin wychodzi, Henryk z cicha do Alfonsa) Co teraz zrobimy?

LUDWIKA.

Któż to, matka pańska?

HENRYK (z cicha).

Tak, ale psyt, żeby nas nie usłyszała.

AMELJA (za sceną).

Marcin! mój mąż jest w stancyi?

MARCIN (za sceną).

Nie ma proszę pani, bo pan senator, tylko zapomniałem jak się nazywa, przyjechał po pana i pojechali na spacer, a ztamtąd mieli być w letnim teatrze w Łazienkach, zapewne nie wróci jak około dwunastój.

AMELJA.

To mi otwórz pokój, niech rzeczy poznoszą.

MARCIN.

Pan wziął klucz ze sobą, bo tu ma jakieś papiery porozkładane na stole i zapewne chciał, żebym ich nie czytał.

AMELJA.

Przecież dopiero klucz ze drzwi wyciągał.

MARCIN.

Zobaczywszy, że pani przyjechała, próbowałem innym kluczem, czy nie otworzę, ale nie idzie.

AMELJA.

Powiedz szwajcarowi niech mi da inny numer.

MARCIN.

Idę (chwila cicho, a potem przychodzi ze szwajcarem).

SZWAJCAR (ciągle za sceną).

Proszę jaśnie pani nie ma ani jednego numeru próżnego, wszystkie zajęte.

AMELJA.

Cóż ja zrobić, przecież w sieni tak długo siedzieć nie podobna.

SZWAJCAR.

Niech jaśnie pani tym czasem zajedzie do innego hotelu n. p. do Polskiego, tam z pewnością będą próżne numera.

AMELJA.

Tak muszę zrobić, a ty Marcinie wsiądź w doróżkę i pośpiesz do Łazienek, powiedz panu, żem przyjechała i słaba jestem, znajdzie mnie w hotelu Polskim.

MARCIN.

Dobrze pani.

HENRYK (pedsluchując przy drzwiach do siebie).

Przecież odeszła; ochłonąłem. (głośno) Z Marcina to jednak sprawny chłopak.

LUDWIKA.

Ale ta pani pytała się Marcina, czy mój mąż jest w stancyi.

ALFONS.

Pani źle zrozumiała, ona się pytała czy mój monżu jest

w stancyi, gdyż pana Henryka zwykle z karesów tak nazywa i ten wyraz u niej w używanie poszedł.

HENRYK (wyprowadzony z ambarasu z udanym uśmiechem.)

Tak, moja matka zabawny sobie wyraz wymyśliła do pie-szczot ze mną i jak go używała do mnie w mojem dzieciń-stwie, tak téż i teraz od niego odzwyczaić się nie może.

MARGIN (wchodzi).

Już pani odjechała do hotelu Polskiego. Czy pan słyszał na-szą rozmowę?

HENRYK.

Słyszałem, ale teraz idź i zobacz, czy moja matka tam lub w innym hotelu stanęła i przyjdź mi powiedzieć. Tylko się nie daj widzieć, rozumiesz.

MARCIN.

Rozumiem proszę pana. (odchodząc do siebie) Nie wiedziałem, że żona może być zarazem matką męża.

LUDWIKA.

My teraz panów pożegnamy, bo i tak już po dziewiątej a pan zapewne się udasz do swój matki.

HENRYK

Tak panno Ludwiko, chcę ją jeszcze dziś zobaczyć po kilku tygodniowém nie widzeniu i zadosyć uczynić jej rozkazom, zwłaszcza że słaba, jest to obowiązek syna. Przeprosić więc muszę, że dziś do stancyi panów nie odwiozę.

AMELJA.

Nie masz pan za co przepraszać, jesteśmy na niemożność wyrozumiałe, ale może pan Alfons ma wolniejszy czas.

HENRYK.

Panie wybaczą, że i pana Alfonsa zatrzymam przy sobie, aby się wraz ze mną udał do słabiej matki mojej.

LUDWIKA.

Słusznie, my same pojedziemy, a spodziewam się panie Henryku, że jutro się zobaczymy; teraz dobranoc panom (wychodzą).

HENRYK.

Tak, kochany Alfonsie, pójdziesz ze mną do mojej żony, weźmiesz ją w kurać i wyperswadujesz, że tu dla niej powietrze nie zdrowe w Warszawie.

ALFONS.

Zostaw wszystko mojej przeczności; pojutrze wyjedzie już do wód.

MARCIN (wchodzi).

Kareta stoi na podwórzu w hotelu Polskim.

HENRYK.

A więc teraz pójźmy (wychodzą — za nimi Marcin).

Scena II.

Pokój w hotelu.

AMELJA, PAULINA, SZWAJCAR, STANISŁAW.

AMELJA (wchodzi, za nią Paulina, niesie pudelko i szwajcar z kluczami).

Więc kochanku tu obok tego jest pokój sypialny.

SZWAJCAR.

Tak jaśnie pani, otworzę drugi numer, który może służyć za sypialny (otwiera boczne drzwi, Stanisław i sługa hotelu wnoszą walizę; do nich odzywa się szwajcar). Tam do tego pokoju zanieście, zaraz otworzę wam z niego drzwi do sieni, żebyście się przez ten pokój nie przechodzili. (wchodzi za niemi).

AMELJA.

Stanisław, a ty, jak poznoscie, pójdziesz zaraz do hotelu Angielskiego i zobaczysz, czy pan nie przyjechał, lub dowiesz się od Marcina, czy go znalazł.

STANISŁAW.

Dobrze pani, już teraz resztę zabierzemy, to zaraz pójdę.

Scena III.

Ci sami, HENRYK, ALFONS.

HENRYK (udaje uradowanego).

Przecież aby raz moja żonuchna wybrała się do Warszawy i tak niespodzianie mnie ucieszyła. (całuje ją). Przedstawiam Ci znakomitego i słynnego ze swój sztuki lekarza Signore Pim-

panionelli, bo Marcin, któregom spotkał w alejach jadącego po mnie do Łazienek, powiedział mi żeś słaba, więc po drodze wstąpiłem po pana konsyliarza i przywożę go.

AMELJA.

Serdecznie ci dziękuję, kochany mężu, za troskliwość, uprzedziłeś chęci moje, bo jeszcze dziś chciałam posłać po jakiego dobrego doktora, aby go się poradzić na ból w boku.

ALFONS.

Jeżeli pani dobrodzika położysz we mnie zaufanie, dołożę wszelkich starań, aby przyspieszyć zdrowie.

AMELJA.

Polecam się z całém zaufaniem względem pana konsyliarza.

ALFONS.

A więc w którym boku i w którym miejscu ból pani dokucza?

AMELJA.

W prawym, ot, tu.

ALFONS.

Uraża panią, jak naciskam?

AMELJA.

Uraża.

ALFONS.

A teraz niech pani oddycha i uważa, czy nie czujesz w tém miejscu lekkiego klócia?

AMELJA.

Tak jest czuję.

ALFONS.

Na dziś zapiszę pani tylko do nacierania, a jutro o godzinie 10. będę u pani, to się dowiem o skutku. Ale niech pani zaraz pośle do apteki, bo to już dosyć późno. (pisze receptę i oddaje).

AMELJA (woła)

Paulino oddaj tę receptę Stanisławowi, żeby natychmiast poszedł do apteki.

ALFONS.

Jest to choroba, która wymaga dłuższej kuracyi, a nade wszystko morskich kąpiel; radziłbym pani, póki jeszcze ciepło, bez zwłoki czasu udać się do Copot pod Gdańsk. Tam 4 tygodnie używać morskich kąpiel przy lekarstwie, na które dam pani receptę, a potem, omijając miasta ile możliwości, gdyż w każdym mieście jest zabijające powietrze dla pani, jechać na wieś do domu i przynajmniej przez rok sypiać w pokoju napełnionym przepiszanymi przezemnie kwiatami, których aromat wzmocni osłabione nerwy i postawi panią w pełnej sile zdrowia.

AMELJA.

Ach! prawda, że mam nadzwyczajnie osłabione nerwy, bo nawet głośny ton mówienia przeraża mnie. Ale pan, nieznając mojej natury, od razu odgadłeś moją chorobę, co jest rzeczą rzadką; przez to wyznać muszę, że tém więcej powzięłam

zaufania do pana. A więc kiedy mi pan radzi wyjechać do wód?

ALFONS.

Radziłbym pani przez jutro odpocząć sobie po podróży, a po jutrze wyjechać.

AMELJA.

Dobrze, usłucham pana. A ty mężu wszakże mi będziesz towarzyszył.

HENRYK.

Z największą chęcią, ale cię tylko mogę odwieść na miejsce, zaradzić o wszystkich wygodach dla ciebie i polecić jakiemu sławnemu lekarzowi, a sam wracać spiesźnie do Warszawy, gdyż ci powiem, że w tych dniach zostałem wybrany na sędziego pokoju i od dziś za 12 dni zaczyna się moje urzędowanie, które z małemi przerwami cały rok trwać będzie.

AMELJA

Jakkolwiek cieszę się z położonego w tobie zaufania, boleśnie mi przecież będzie, że na tak długo będę się z tobą musiała rozstać.

HENRYK.

O i mnie to, kochana Ameljo, bardzo przykro, chciałem się z tego urzędowania wymówić, ale nie szło. Teraz chciałbym jedną rzecz zaproponować coby cię ucieszyło, ale musisz wspólnie prosić pana konsyliarza, aby nam nie odmówił.

ALFONS.

Co w mojej mocy będzie wszystko dla państwa uczynię.

HENRYK.

Żebyś pan był łaskaw ze mną towarzyszyć mojej żonie do wód i tam ją przy przepisaniu dla niej kuracyi oddać pieczy któremu biegłemu koledze.

ALFONS.

Pozwólcie państwo moment zastanowić się o moich pacjentach, nim dam stanowczą odpowiedź. Idzie oto, czy nie ma którego tak niebezpiecznie chorego, że go mogę odstąpić i powierzyć przez ten czas w zastępstwo któremu koledze. (myśli). Nie ma, a więc chętnie państwu towarzyszyć będę, a dziś składam moje uszanowanie i życzę państwu dobrej nocy.

AMELJA.

Nim pan odejdziesz, pozwól sobie podziękować za przyjemność, którą nam sprawisz z towarzyszenia w podróży. Szczegółowo wyznać mużę, że z tego bardzo ucieszona.

HENRYK.

A teraz moja duszko i ja cię na dziś pożegnam, bo to już po 11. Połóż się i wywczasuj po podróży, jutro będę rano u ciebie, a dziś dobranoc ci. (Wychodzą).

AMELJA.

Dobranoc, dobranoc panom (woła Pauliny która wchodzi z drugiego pokoju). Czy łóżko już posłane?

PAULINA.

Już proszę pani, niech się pani położy, Stanisław zaraz musi nadejść z apteki.

AMELJA.

Dobrze, idę bom też strudzona. (wychodzą).

Scena IV.

Ogród Krasieńskich,

LUDWIKA z EMILJĄ wchodzą jedną stroną, a HENRYK z ALFONSEM drugą i spotykają się w alei.

HENRYK.

Co za szczęśliwy traf, właśnieśmy śli z panem Alfonsem pożegnać się z paniami, bo jutro rano odjeżdżamy. Tém lepiej, że się spotykamy, gdyż czasu długo nie mamy, usiądźmy na ławie. (siadają).

LUDWIKA.

Więc pan jutro odjeżdża na Litwę i pan Alfons z panem.

HENRYK.

Nie na Litwę, odwozimy z panem Alfonsem moją matkę do morskich wód do Gdańska i za dziesięć dni będziemy w Warszawie, gdzie stale zamieszkam w mojej kamienicy, którą dziś kupiłem, aby przez to dopełnić prawnych formalności przedślubnych, a zarazem będę miał zaszczyt być sąsiadem pani.

ALFONS.

Niech panie bardzo za nami nie tęsknią, bo z tęsknoty można się rozchorować, a jabym miał ambaras z leczeniem.

EMILJA.

Niech pan sobie ani przez myśl nie przepuszcza, aby kto za panem tęschnił, a ja gdybym kiedy miała zachorować, to z pewnościąbym pana za doktora nie wzięła.

ALFONS.

Aha, panna Emilja wołałaby mnie wziąć za męża, kiedy tak, to niech się stanie wola pani.

EMILJA.

Ja ani pana, ani nikogo za męża nie chcę, bo idę do klasztoru.

ALFONS.

A do którego, czy wolno wiedzieć?

EMILJA.

Jeszcze się nie zdecydowała.

ALFONS.

I podobno nigdy nie zdecyduje, bo piękniej się wypatruje w ślubnej sukni jak w habitcie.

HENRYK.

Państwo jak uważam, wiele razy się zejdziecie tyle razy się przemawiacie, co jest najlepszym dowodem że się kochacie i tak mi się zdaje, że dwie pary przy jednym ołtarzu ślub brać będą. A teraz z boleścią nasze panie pożegnać musimy, bo mam dużo sprawunków jeszcze dla matki i dla siebie. Żegnam cię droga Ludwiniu. (bierze za rękę). Za 10 dni zobaczymy się. (Po wzajemnych pożegnaniach i życzeniach rozchodzą się w przeciwną stronę, lecz Henryk z Alfonsem zatrzymają się jeszcze w ogrodzie i wracają na ławę).

HENRYK.

Więc mówisz, że żona moja nie wyzdrowieje.

ALFONS.

Nie ma nadziei, wysoki stopień suchot nie pozwoli ję żyć dłużej jak rok, a tak staniesz się wdowcem po jednę żonie a całęm sercem mężem drugię i nie będziesz wtenczas potrzebował robić tajemnicy.

HENRYK.

O gdybym był pewny, że Ludwika nie zmieni swego serca i przez ten czas nie odda swę ręk innemu, czekałbym za wyrokami niebios i jako wolny połączył się z nią.

ALFONS.

Na to nie rachuj, nie znasz kobiet, one nie lubią długiego czekania zwłaszcza nie będąc równie pewne rzeczywistości mężczyzn. A potem cóżbyś ję dał za powód tak długię zwłoki ze ślubem.

HENRYK.

Masz racją, przedłużać tak długo nie podobna.

ALFONS (wstając).

Teraz chódźmy, bo muszę odwiedzić jeszcze niektórych chorych i powiedzieć im który z doktorów zastąpi mnie; a ty idź do żony i przyjdź potem do Lursa na herbatę, tam się zobaczymy.

HENRYK.

Dobrze, za dwie godziny będę tam. (wychodzą.)

Scena V.

Pokój LUDWIKI.

LUDWIKA i EMILJA (wchodzą).

LUDWIKA.

Z Henryka i Alfonsa nierozzerwani przyjaciele.

EMILJA.

Przyznam ci się Ludwisiu, że Alfons podoba mi się i nie mogę powiedzieć, że bym go nie lubiła, a jednak jakiś wstręt mam do niego, czego sobie nie mogę wytłumaczyć, i dla tego postanowiłam sobie do pół roku wstrzymać się z daniem mu słowa, którego odemnie żąda. Przez ten czas znajdę może sposobność lepiej poznania jego charakteru.

LUDWIKA.

I ja ci powiem, że mam równie jakąś wątpliwość o jego charakterze, lecz może wyobraźnia nasza nie słusznie o nim sądzi, bo zdaje się być dobrym, a Henryk, który jest pełen szlachetnych uczuć, nie przyjaźniłby się z nim, gdyby był złym człowiekiem.

EMILJA.

I ja mam to na uwadze, pomimo tego zostawiam wszystko dalszemu czasowi, nim wniknę z nim w ściślejsze stosunki przyjaźni. Młoda jeszcze jestem i mam dość czasu do zamęścia.

LUDWIKA.

Rozsądnie z twojej strony; a teraz chódź ze mną, bo mi się przypomniało, że zostawiła książki do czytania w maga-

zynie, którem w księgarni wymieniła, gdyż chcę jeszcze dziś wieczorem czytać.

EMILJA.

Dobrze, a potem pójdziemy do mojej matki. (Wychodzą).

KONIEC AKTU II.

AKT TRZECI.

Scena I.

Rzecz dzieje się na wsi w Dobrach Bogdanków.

Pokój bawiały Amelii.

AMELJA (sama z książką, którą zamyka).



nakomity autor z Czajkowskiego, nadzwyczajnie lubię jego dzieła czytać (ze smutkiem. Cała też moja rozrywka czytanie książek. Czy mi się zdaje, że ktoś zajechał (idzie do okna). Ach to pani Jagiełko, co za kochana osoba. (Chce wychodzić na przeciwko).

Scena II.

AMELJA, pani JAGIEŁKO.

JAGIEŁKO.

Przyjechałam odwiedzić moją kochaną pustelnicę i dowiedzieć się o zdrowiu.

AMELJA.

Wdzięczną pani jestem za jój dobroć, bo też prawdziwie jak pustelnica sama siedzę. Ale niech pani rozgości się i zajmie miejsce.

JAGIELKO.

Kiedyż się pani spodziewa męża, dawno pisał?

AMELJA.

Od dwóch tygodni nie miałam listu, ale spodziewam się w tych dniach. Nie obiecuje mi się tak prędko, gdyż nie może się oddalić od swego urzędowania, gdzie czasem tak zatrudniony, że ledwie ma wolną chwilę do jada.

JAGIELKO.

Nie wierz pani tego, jest inna przyczyna która go w Warszawie zatrzymuje.

AMELJA (z zadziwieniem).

A co takiego?

JAGIELKO.

Niech to panią zbytecznie nie zmartwi, ale wzięłam na siebie ten obowiązek uwiadomienia ją o wszystkim.

AMELJA.

Przebóg, cóż takiego?

JAGIELKO.

Boję się odkryć a muszę, bo sama przyjaźń i moralność nakazują złe zawczasu zniszczyć.

AMELJA (z niecierpliwością).

Może ma kochankę?

JAGIELKO,

Gorzéj, bo żonę.

AMELJA (z przerażeniem).

To nie podobna! O ja nieszczęśliwa! (Płacze).

JAGIELKO.

Uspokój się pani i chciej mnie posłuchać.

AMELJA (z roztargnieniem).

Proszę, słucham.

JAGIELKO.

Przyjaciół mego męża wrócił teraz z Warszawy, gdzie był odwiedzić brata swego, który jest księdzem w klasztorze Trynitarzy i ten, czekając na niego w celi dopóki z kościoła nie wróci, otworzył mimowolnie księgę wpisów ślubnych, a przewracając karty, natrafił na nazwisko Bogdanko Henryk, co go mocno zastanowiło, znając dom Państwa. Jak ksiądz przyszedł, dowiedział się od niego, że przeszło dwa miesiące temu jak mu dał ślub za indultem z panną Ludwiką szwaczką i że świadkami byli: doktor Pimpionelli i jakaś Emilia, córka po zmarłym urzędniku.

AMELJA.

Ach to ten sam, co nam towarzyszył do wód; co za nikczemnik. O Boże! cóż ja nieszczęśliwa teraz pocznę.

JAGIELKO.

Musisz pani natychmiast jechać do Warszawy, zameldować

to władzy i podać o rozwód. A do tego i majątek od zniszczenia ocalić, na który podobno zaciąga znaczne summy na mocy jeneralnej plenipotencyi od pani, o czém się równie przypadkowo nasz przyjaciel dowiedział.

AMELJA.

Z jaką to boleścią i trudnością dla mnie połączone będzie, zwłaszcza nie mając nikogo znajomego w Warszawie.

JAGIELKO.

Jeżeli zechcesz, chętnie pani do Warszawy towarzyszyć będę, aby się stać pomocą przez moje znajomości i wpływy. Ale radę pani zaraz jutro tę podróż przedsięwziąć.

AMELJA.

Serdecznie pani za jej łaskę dziękuję. Szczęśliwa będę, że za jej pomocą zdołam w Warszawie przedsięwziąć stosowne kroki. A więc jutro jedziemy.

JAGIELKO.

Z przyjemnością służę i czekam na panią, a teraz pożegnam aby w domu niektóre przygotowania uczynić do podróży.

AMELJA.

Ale przecież pani nie odjedzie dopóki czego nie zakosztujemy, zaraz każe przynieść.

JAGIELKO.

Za wszystko dziękuję i niech mnie pani nie wstrzymuje, jeżeli się mamy rano wybrać. Żegnam panią do miłego widzenia.

AMELJA.

Adju, dobra pani i dziękuję za prawdziwy dowód przyjaźni. (wychodzą).

Scena III.

Pokój bawialny.

HENRYK, LUDWIKA, MARCIN.

HENRYK wchodzi i prowadzi LUDWIKĘ, za niemi MARCIN z paką towarów, które kładzie na stół.

HENRYK (do Marcina).

Teraz idź do krawca Jedwabnickiego i powiedz mu, niech jutro o 11. godzinie przyjdzie, co weźmie miarę na suknie dla pani.

MARCIN.

Proszę pana jutro uroczyste święto.

HENRYK.

Dziwnyś mój Marcinie z twojem uroczystém świętem; przecież miarę wziąć może i przykrajać, a pojutrze dać do roboty.

MARCIN.

Ale czy w święto będzie chciał przyjść.

LUDWIKA.

A to dobre, kiedy się każe, to musi, jeżeli chce mieć robotę.

MARCIN.

Idę pani. (wychodzi).

HENRYK

Dziś właśnie 3 miesiące, jak jesteś moją żoną, i ten czas tak mi szybko upłynął, iż mi się zdaje, jak gdybyśmy dopiero wczoraj ślub brali.

LUDWIKA.

Tak mój mężu i mnie się wydaje, że dopiero od wczoraj jestem w twoich objęciach; dla tego anim pomyślała jeszcze być w kościele, aby podziękować Najwyższemu Stwórcy za szczęście, które mnie spotkało.

HENRYK.

Do tego masz czas jeszcze, a teraz mi powiedz, jak chcesz być ubraną na jutrzejszą maskaradę.

LUDWIKA.

Sama nie wiem, doradź mi.

HENRYK.

Wystąp jako bogini nocy. Wczoraj kupując te bransolety dla ciebie u jubilera, widziałem prześliczny dyadem. Chce za niego 500 rubli. Pójdę i kupię go, a precudnie będzie ci w nim.

LUDWIKA.

Kiedy taki drogi.

HENRYK.

Owszem cena nie jest za wysoka, bo też i wart tyle.

Scena IV.

CI SAMI, AMELJA.

AMELJA, (wchodzi i zatrzymuje się przy drzwiach z spuszczoneym wóalem i zmienionym głosem).

Czy mam szczęście mówić z panem Bogdanko.

HENRYK.

Tak — co pani żądasz.

AMELJA.

Chciałam się dowiedzieć, czy żona pańska jest w Warszawie.

HENRYK.

Jest, oto siedzi. Ale kto pani jesteś?

AMELJA (odslania wóal).

Kto jestem, nie potrzebuję ci powiedzieć.

HENRYK (przestraszony).

O nieba! Amelja.

AMELJA.

Tak, Amelja, — twoja żona, — cóż teraz na to powiesz, niegodny wiarołomco!

LUDWIKA (z zadziwieniem).

Henryku! co słyszę, cóż to jest — mów, nie jestem mądra z tego wszystkiego. Miałżebyś się dopuścić tój zbrodni i uwieść nieszczęśliwą dziewczynę, mając już jedną żonę.

AMELJA.

Tak pani. Ten wiarołomca zdeptał prawa religii — prawa miłości. A łamiąc jedną przysięgę — zaprzysiągł fałszywie drugą (do Henryka). Henryku! milczysz ze wstydu i bojaźni — nabierz odwagi, jaką miałeś przystępując do powtórnego ślubu. Nie wdzięczny! zraniłeś ciężko serce moje — dokonaj zbrodniczego dzieła i uderz sztylętą w te piersi (skazując) które karmiły dziecię naszą — a pozbędziesz się tej zony, którą przestałeś kochać. Na co masz dopiero tę miłość udawać przedemną i uwodzić mnie jak dziecko, którem nie jestem.

HENRYK (z gniwem).

Kto śmiał panią tutaj wpuścić — proszę nie naruszać niczyjej spokojności i natychmiast moje progi opuścić, gdyż każę wyprowadzić.

LUDWIKA.

Henryku! nie zapominaj się. O ja nieszczęśliwa!

AMELJA.

Wychodzę, lecz nim odejdę, oznajmiam panu, iż o twój występek już jesteś oskarżony. Musiałam to uczynić, nie chcąc być obwiniona o ukrycie zbrodni. Sprawiedliwi sędziowie niech wydadzą wyrok — a Bóg niech ześle na ciebie zasłużoną karę (odchodzi).

Scena V.

HENRYK, LUDWIKA, PIERWSZY I DRUGI POLICJANT.

PIERWSZY POLICJANT.

Przeciwko panu zaszła denuncjacja o wielożeństwo. Przycho-
dzą z rozkazem aresztować pana i odprowadzić do cyrkulu,
gdzie najprzód przez władzę policyjną będziesz słuchany, a po-
tém odprowadzony do sądu. Równie i pani ma towarzyszyć
dla zeznania rzeczy protokularnie.

LUDWIKA.

O nieba! co za wstyd — co za hańba.

HENRYK.

Do cyrkulu sam się stawię, lecz proszę mnie uwolnić od
swój eskorty, aby ludzie nie myśleli, że prowadzicie złoczyńcę.

DRUGI POLICJANT.

O mój panie, nie tak, jak pan chcesz, tylko jak musisz. Da-
lój proszę się zabierać, bo pan komisarz czeka.

HENRYK.

Niech czeka, a ja nie pójdę.

PIERWSZY POLICJANT.

Czy pan chcesz się wystawić na gorszą hańbę, abyś był
związany lub w kajdany okuty i tak poprowadzony.

LUDWIKA.

Henryku! nie unoś się. Ci panowie mają taki rozkaz, wypeł-
nić go muszą, bądź powolny.

HENRYK.

Kiedy chcesz, jestem posłuszny i idę, lecz niepozwole, aby i ciebie razem ze mną prowadzili.

PIERWSZY POLICJANT.

Tój pani jak się podoba, może iść opodal przed lub za nami ponieważ nie jest aresztowana.

HENRYK.

A więc pójdźmy. Ty Ludwiko wsiądź w doróżkę i przyjeżdż za nami. (wychodzą).

LUDWIKA.

O Boże dodaj mi sił do zniesienia tego. (wychodzi za niemi).

Pauza, kurtyna zapada.

Scena VI.

(Więzienie, w którym HENRYK leży na prostém łóżku. Opodal stoi LUDWIKA z załamanemi rękoma wpatrując się w niego. BARBARA w ubiorze Szaretki z podwiązaną twarzą i z plastrem czarnym na lewém oku, podaje mu łyżkę z lekarstwem.)

HENRYK, AMELJA, czyli SIOSTRA BARBARA, LUDWIKA, DOZÓRCA WIEŹNIÓW.

HENRYK, (bierze łyżkę i wylewa na ziemię).

Nie chcę i tak umierać muszę, Ludwiko, niech ci uściskę jeszcze rękę (podaje jej swoją, którą Ludwika bierze). O gdybym mógł i Amelią widzieć także przed śmiercią. (Barbara zdejmując plaster z oka, zrzuca kapelusz i chustkę z twarzy, zostając z gołą głową w krótkich włosach zaczesanych w tył).

AMELJA, czyli SIOSTRA BARBARA.

Masz ją przed sobą.

HENRYK, (wysilonym lecz słabym głosem).

Co widzę — Amelja, Amelja, która mnie do więzienia wtrąciła, a teraz tak starannie w mojej chorobie pielęgnuje. Zasłużyłem na karę i Bóg mnie téż za życia jeszcze ukarał. Ameljo! nim stanę przed sądem Przedwiecznego, przebac mi — przebac, żem ci zatrul szczęśliwe dni twoje. Przebac i ty Ludwiko, żem cię uwiódł, a teraz zostawiam w najsmutniejszym położeniu. O Boże! czemuż na domiar mych wewnętrznych katuszy, zsyłasz jeszcze w ostatniej chwili zgonu dwóch ziemskich aniołów, których widok lubo pożądany, zbyt przecież rozczulający, patrząc na ich troskliwość o mnie, której nie jestem godzien. Ameljo przebac i Ludwice, ona jest niewinna, przysięgam ci na tego Boga, przed którego obliczem w krótkce stanę, że nie wiedziała o niczym.

AMELJA.

Henryku! głos mój, który po raz ostatni z mych ust słyszysz, niech będzie głosem przebaczenia dla ciebie. Ale przebac, i ty nawzajem, że uniesiona żalem i rozpaczą w pierwszym zapędzie uczyniłam krok, którego później, żałując dla srogości prawa, już cofnąć nie mogłam. Jeżeli umrzesz, umieraj spokojny. Bóg niech ci nie pamięta tego — przebaczam tobie, przebaczam Ludwice i robię ją panią połowej majątku, bo drugą zapisałem na różne ofiary i na mój klasztor.

HENRYK.

O nadziemska istoto! żadnej nienawiści ku tobie nie mam, boś sprawiedliwie postąpiła ze mną.

LUDWIKA.

Za przebaczenie pani z całego serca dziękuję, majątku się zrzekam, bo równie jak pani wstępuję do tego samego klasztoru. Byłyśmy żonami jednego męża, bądźmy teraz siostrami jednego zakonu.

Scena VII.

i ostatnia.

Ci sami, ALFONS.

ALFONS (do DOZÓRCY).

Jak się miewa, czy zażył ostatnie lekarstwo?

DOZÓRCA.

Nie chciał, wylał na ziemię.

ALFONS (spostrzeglszy AMELJĄ przerażony).

Czy mnie wzrok mój myli, że w Siostrze Barbarze widzę Amelję żonę Henryka.

BARBARA.

Tak, byłam nią niegdyś. Twoja szatańska namowa, Doktorze, która mi nie jest tajną, zniszczyła szczęście trzech osób. Mogłabym i pana za to do odpowiedzialności pociągnąć, ale złe już się nie naprawi, a ja nie będąc mściwą, nie chcę zatruwać mu życia.

ALFONS (z uniesieniem).

Prawda, ciężko przewiniłem przed obliczem Boga — przed obliczem ludzi — resztę dni zamknę w murach klasztornych tego zakonu, w którego kościele byłem świadkiem powtórnego ślubu Henryka z moją zbrodniczą doradą — i na tych samych stopniach ołtarza błagać będę Najwyższego o miłosierdzie dla niego i odpuszczenie wielkich grzechów moich — a was proszę o litość dla pokutnika, który gorzko żałuje za winy.

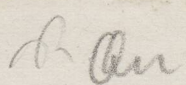
HENRYK (głosem słabym i przerywanym).

Czuje jak krew w żyłach moich stygnie — przebaczenia — przebaczenia. — Żegnam was, bo już umieram. Boże! Boże! polecam Ci duszę moją i oddaję Twój opiece Amelję i Ludwikę. A ty Alfonsie! przypatrz się ofiarom twój nیکezemności. — Bóg niech cię nie sędzi za to.

ALFONS (załamując ręce, mocnym głosem)

Henryku! przyjacielu! przebacz nieszcześliwemu. (bierze go za rękę, i po pauzie ze smutkiem). Już nie żyje. Skończył biedak męczarnie. (Załamując ręce). Wielki Boże! ja jestem przyczyną jego śmierci i smutku tych czei godnych kobiet. — Pokutą moją będą zgryzoty sumienia, które nie przestaną mnie dręczyć w każdej chwili, aż do zgonu mego. — (do dozórey), Zameldować o śmierci inspektorowi i powiedzieć że ja się zajmę pogrzebem. Panie pozwól mi tę ostatnią wyświadczyć przysługę zmarłemu. (Amelja i Ludwika klęczą przy łóżku, od chwili oznajmienia Alfonsa o jego zgonie płacząc).

KONIEC.



PRENUMERATOROWIE.

	Expl.		Expl.
<i>Andrzejewski</i>	1	<i>Dębski</i>	2
<i>Bartel A.</i>	2	<i>Daszyński ks.</i>	1
<i>Banachowicz Euzebi.</i>	2	<i>Daniszewski</i>	1
<i>Baranowski</i>	2	<i>Danielski ks. dz.</i>	2
<i>Bieńkowski Albin</i>	2	<i>Dembiński J.</i>	1
<i>Biegański</i>	2	<i>Dumaracki</i>	1
<i>Bilarzewski</i>	2	<i>Dydyński ks. dz.</i>	1
<i>Boniarski</i>	1	<i>Dziewanowski</i>	6
<i>Bogusławski Henryk</i>	4	<i>Dziewanowski</i>	1
<i>Borzewski</i>	3	<i>Drawert</i>	1
<i>Boszewski S.</i>	1	<i>Działowski</i>	6
<i>Bogdański</i>	1	<i>Działowski</i>	1
<i>Brudnicki</i>	2	<i>Działowska J.</i>	5
<i>Brudziński</i>	2	<i>Duczymiński</i>	2
<i>Brzozowski</i>	2	<i>Engelstroem hr. W.</i>	2
<i>Bronisz</i>	1	<i>Englersleben</i>	2
<i>Bniński hr. Ignacy</i>	2	<i>Feldt</i>	1
<i>Brodowski K.</i>	2	<i>Feldt Karól</i>	1
<i>Brzeski Leonard</i>	1	<i>Fugiński</i>	1
<i>Celiński Max.</i>	2	<i>Gadomski F.</i>	1
<i>Cysowski P.</i>	1	<i>Gąsiorowski ks. K.</i>	1
<i>Cysowski</i>	4	<i>Gerpe Dr.</i>	1
<i>Chelmicki A.</i>	10	<i>Goczkowski</i>	2
<i>Chelmicki J.</i>	1	<i>Goczkowski</i>	2
<i>Chelmicka</i>	1	<i>Gólkowski</i>	4
<i>Czapski</i>	5	<i>Gosk</i>	1
<i>Czapski J.</i>	1	<i>Górecki A.</i>	1
<i>Czapski</i>	4	<i>Górski</i>	1
<i>Czapska hr.</i>	4	<i>Goziniński R.</i>	1
<i>Cunow Albert.</i>	1	<i>Gólcz</i>	2
<i>Czarnecki</i>	2	<i>Guttry Alex.</i>	1
<i>Ciesielski</i>	2		

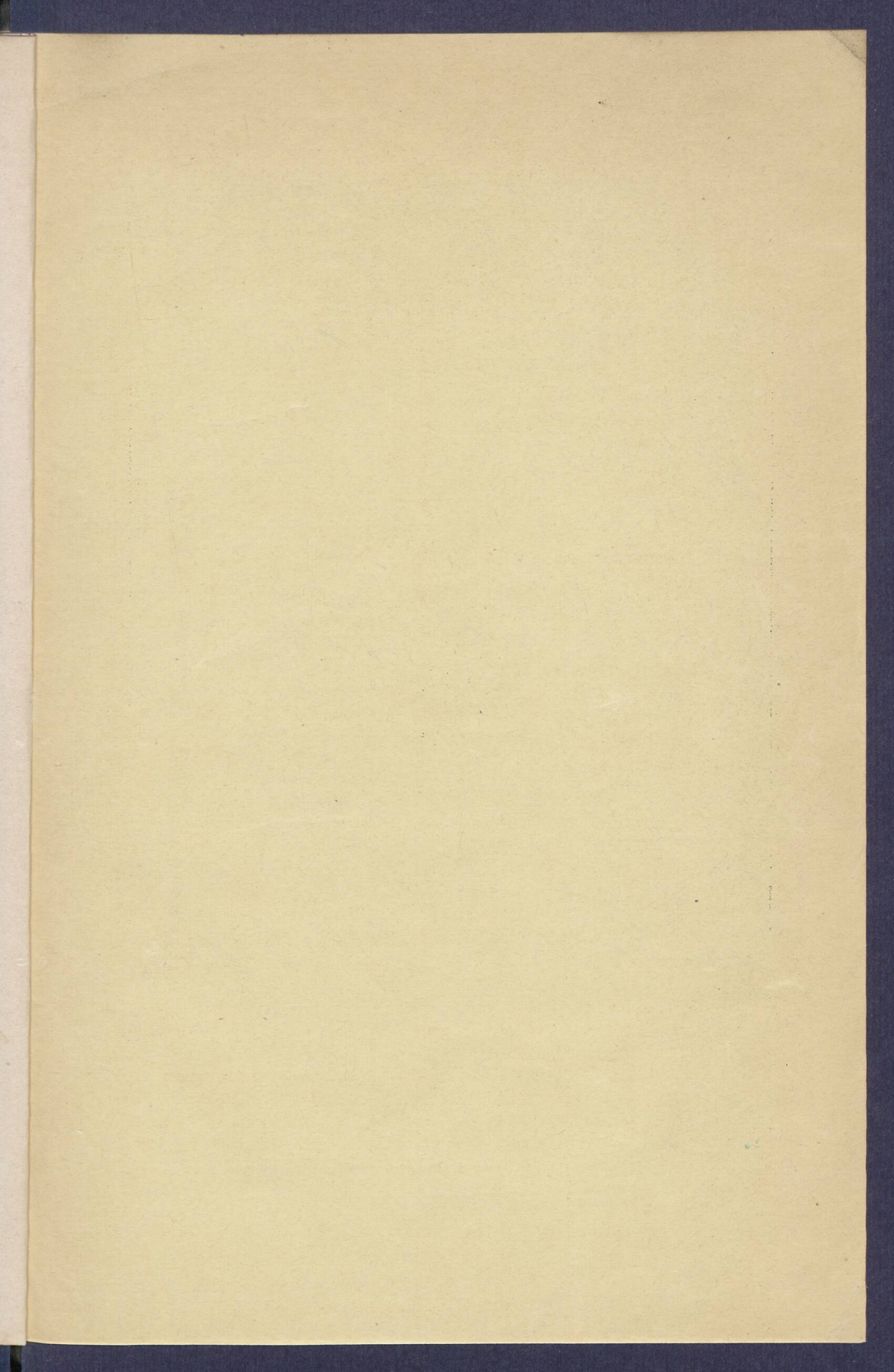
	Expl.
<i>Grączewski</i>	4
<i>Grabski</i>	1
<i>Grabska</i>	2
<i>Grabowski</i>	1
<i>Grabowska hr.</i>	6
<i>Grygrowicz</i>	1
<i>Galonowa</i>	1
<i>Henikowski</i>	4
<i>Jaraczewski</i>	1
<i>Jackowski</i>	1
<i>Jerwe</i>	2
<i>Jeżewski A.</i>	6
<i>Jezierski</i>	1
<i>Jezierski</i>	2
<i>Jwiński ks.</i>	2
<i>Itowiecki A.</i>	2
<i>Karlowski</i>	2
<i>Kantak</i>	2
<i>Kalkstein</i>	2
<i>Kalkstein K.</i>	2
<i>Kaniewski</i>	2
<i>Kaniewski</i>	2
<i>Karwat</i>	2
<i>Karwat</i>	2
<i>Karwat</i>	4
<i>Karwat</i>	2
<i>Karnikowski</i>	2
<i>Kaweczyński J.</i>	1
<i>Kamrowski ks.</i>	1
<i>Kierska Roz.</i>	2
<i>Klepaczewski</i>	1
<i>Kegel Cesar</i>	1
<i>Komirowski</i>	1
<i>Koczorowski</i>	2
<i>Koczorowska J.</i>	2
<i>Kozłowski</i>	1
<i>Kozłowska</i>	1
<i>Kołęda ks. K.</i>	2

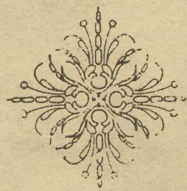
	Expl.
<i>Kowalewski B.</i>	2
<i>Kossowski</i>	3
<i>Kobyliński</i>	2
<i>Kublicki Włó. Piotuch.</i>	2
<i>Kowalski</i>	2
<i>Kobyliński ks.</i>	1
<i>Kurnatowski</i>	1
<i>Kurowski H.</i>	2
<i>Krakowska</i>	1
<i>Krakowski ks.</i>	2
<i>Kruszyńska</i>	1
<i>Lange księgarz</i>	10
<i>Lasocki B.</i>	1
<i>Linowski</i>	2
<i>Libelt Dr. Karól</i>	4
<i>Loga Jan</i>	1
<i>Lniski J.</i>	1
<i>Lorkowski Dr.</i>	2
<i>Lagona J.</i>	1
<i>Łaszewski</i>	1
<i>Łempicki</i>	2
<i>Łyskowski</i>	6
<i>Machezyński Ig.</i>	1
<i>Markiewicz</i>	1
<i>Maluski</i>	2
<i>Machorski ks.</i>	1
<i>Malaszewski</i>	1
<i>Majewski J.</i>	2
<i>Majewski F.</i>	2
<i>Malczewski Adolf</i>	2
<i>Malczewski Zyg.</i>	2
<i>Miączyński hr.</i>	1
<i>Mieczkowski</i>	1
<i>Mieczkowski</i>	3
<i>Michałowski</i>	2
<i>Mikorska</i>	2
<i>Moszczeński Max.</i>	4
<i>Moszczeński Ign.</i>	4

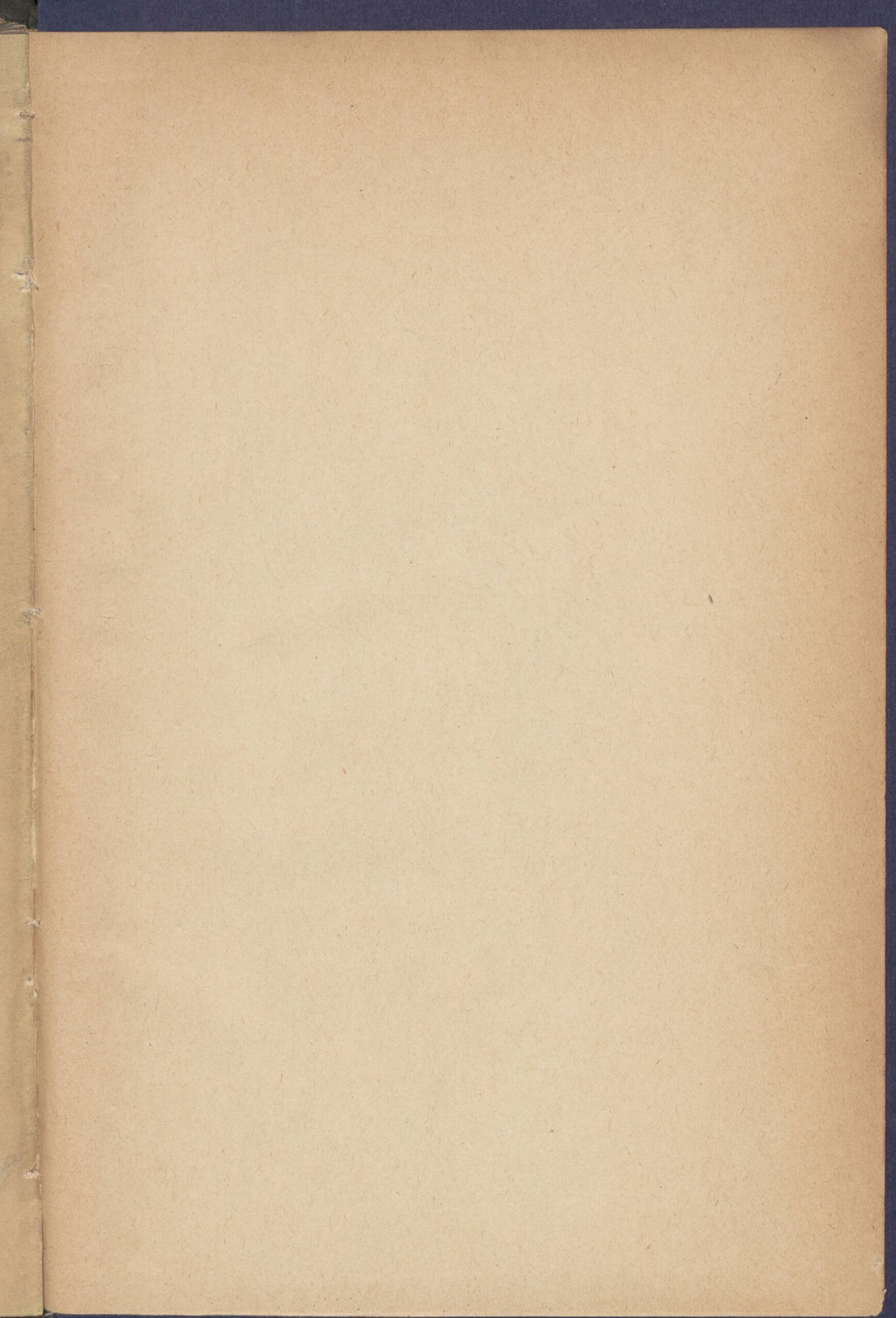
	Expl.		Expl.
<i>Moszczeński W.</i>	4	<i>Rumocki</i>	1
<i>Moszczeński J.</i>	2	<i>Rumocki</i>	2
<i>Moszczeński F.</i>	1	<i>Różycki</i>	2
<i>Murzyński</i>	2	<i>Różycki W.</i>	1
<i>Musolff ks.</i>	1	<i>Różycki</i>	2
<i>Mühlrad Fr.</i>	2	<i>Rutkowski</i>	2
<i>Nalęcz M.</i>	2	<i>Rzeszotarski B.</i>	1
<i>Nalęcz</i>	4	<i>Rybiński.</i>	2
<i>Nieżychoński</i>	4	<i>Sulkowski</i>	1
<i>Nieżychoński</i>	2	<i>Sawicki</i>	1
<i>Nieszczota A.</i>	2	<i>Siemiątkowski</i>	2
<i>Niemojewska Jener.</i>	1	<i>Sikorski Leon</i>	4
<i>Orłowski</i>	2	<i>Sokolnicki hr.</i>	2
<i>Ostrowski</i>	3	<i>Sobierajski W.</i>	2
<i>Ossowski</i>	2	<i>Smoliński</i>	4
<i>Ossowicki ks.</i>	1	<i>Skrzydlewski K.</i>	1
<i>Piwnicki</i>	6	<i>Skoraszewski J.</i>	4
<i>Piwnicki</i>	12	<i>Skoraszewski P.</i>	2
<i>Piwnicki A.</i>	1	<i>Staniewicz ks.</i>	1
<i>Piotrowski K.</i>	1	<i>Strykstrak</i>	2
<i>Potworowski</i>	2	<i>Stempowski</i>	2
<i>Pląskowska</i>	2	<i>Średnicka</i>	2
<i>Pląskowski Ig.</i>	6	<i>Święcicki</i>	2
<i>Pluciński ks.</i>	1	<i>Swiniarska</i>	2
<i>Półczyński W.</i>	1	<i>Szumiński</i>	1
<i>Podleski A.</i>	1	<i>Szatkowski</i>	2
<i>Pomichowski ks.</i>	2	<i>Szmałpfeffer</i>	2
<i>Prażmowski</i>	2	<i>Szyman Dr.</i>	3
<i>Prawdzielski</i>	1	<i>Szlaski</i>	1
<i>Prądzynski</i>	1	<i>Szwantowska</i>	1
<i>Radecki ks.</i>	1	<i>Szulczewski</i>	1
<i>Radzywiński ks.</i>	1	<i>Szulczewski</i>	2
<i>Radkiewicz</i>	2	<i>Szulczewski</i>	2
<i>Radziński</i>	2	<i>Szuman Norb.</i>	2
<i>Radziński St.</i>	1	<i>Szułdrzyńska</i>	2
<i>Radziwiński Wło.</i>	1	<i>Szaleczyński ks.</i>	1
<i>Rumocki</i>	4	<i>Stawoszewski T.</i>	2
		<i>Szrader Nap.</i>	2
		<i>Skuszewicz</i>	1
		<i>Sumiński Art.</i>	10

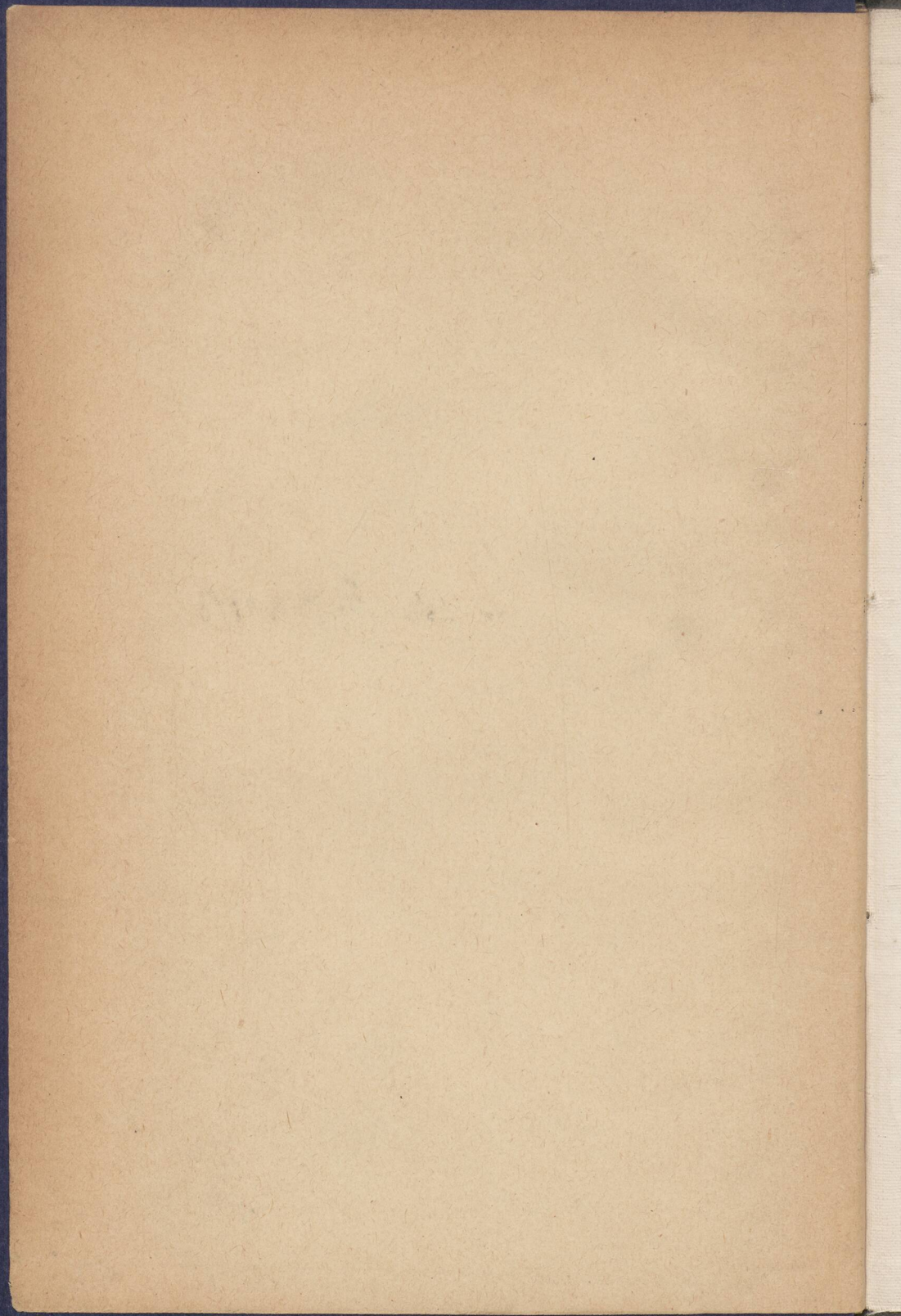
	Expl.		Expl.
<i>Sumińska J.</i>	1	<i>Wierzbicki Marjan</i>	1
<i>Sumińska</i>	2	<i>Wierzbicki</i>	1
<i>Sulerzycki W.</i>	1	<i>Wilkoński Fl.</i>	2
<i>Sulerzycki</i>	5	<i>Wiese</i>	2
<i>Sypniewski</i>	2	<i>Wolszlegier</i>	1
		<i>Wolszlegier A.</i>	2
<i>Tarnowski ks.</i>	1	<i>Wolszlegier</i>	2
<i>Taszarzski</i>	4	<i>Wysocki</i>	4
<i>Trąpczyński Eu.</i>	2	<i>Wybicki</i>	2
<i>Tokarski</i>	1	<i>Wybicki J.</i>	1
<i>Trzciniński E.</i>	4		
<i>Tuchulka</i>	1	<i>Zawisza Czarny Au.</i>	4
<i>Tur</i>	2	<i>Zabłocki K.</i>	2
		<i>Zabłocki T.</i>	2
<i>Umiński</i>	2	<i>Zalewski R.</i>	1
<i>Umiński</i>	2	<i>Zalewski W.</i>	2
<i>Ulatowska</i>	2	<i>Zapałowski W.</i>	1
<i>Urbanowski T.</i>	2	<i>Zapłowski A.</i>	1
		<i>Zieliński</i>	2
<i>Warnke Al.</i>	2	<i>Zieliński G.</i>	3
<i>Wendorff Z.</i>	2	<i>Zieliński</i>	1
<i>Wilczewski</i>	2	<i>Zieliński</i>	2
<i>Wilczewski</i>	1	<i>Ziętkiewicz ks.</i>	1
<i>Węsierska hr.</i>	2	<i>Znanięcki W.</i>	1
<i>Weber</i>	2	<i>Żmijewski ks.</i>	1











Qzr 65101



BG0965573